Wszystko w tobie zostaje

Nie można pokochać teraźniejszości, patrząc wyłącznie wstecz



Laura Bellini

Wszystko w tobie zostaje

Nie można pokochać teraźniejszości, patrząc wyłącznie wstecz

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384904701

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Człowiek, który pamiętał za dużo 9
Rozdział 2 - Warunki bliskości..... 19
Rozdział 3 - Światło, którego nie da się zaplanować 32
Rozdział 4 - Poza kadrem..... 43
Rozdział 5 - Prawo do własnego tempa 57
Rozdział 6 - Zgoda na jeszcze jeden krok..... 67
Rozdział 7 - Kobieta spoza wspomnienia..... 77
Rozdział 8 - W jego świecie 87
Rozdział 9 - Cena wspólnej decyzji..... 98
Rozdział 10 - To już nie jest przypadek..... 111
Rozdział 11 - Między bliskością a codziennością 124
Rozdział 12 - Obraz, którego nie wybrałam..... 135
Rozdział 13 - Kiedy plany przestają się mieścić 145
Rozdział 14 - To, czego nie powiedzieliśmy..... 155
Rozdział 15 - Nie jestem twoim wspomnieniem..... 166
Rozdział 16 - Miejsce, którego nie można zajmować za kogoś 179
Rozdział 17 - Życie, którego nie można odłożyć 190
Rozdział 18 - Pierwszy gest bez obietnicy 200
Rozdział 19 - Nie zaczyna się od nowa, zaczyna się inaczej 209
Rozdział 20 - Wszystko, co zostaje 221

INTRO

W pracowni pachniało mokrą gliną, kawą i kurzem, który osiadał na półkach mimo codziennego sprzątania. Lubiłam ten zapach. Nie był ładny w oczywisty sposób, nie przypominał perfum ani świeżo upieczonego ciasta. Był zapachem rzeczy, które przechodziły przez czyjeś ręce i zostawały na swoim miejscu. Tego ranka szczególnie potrzebowałam poczucia, że przynajmniej część mojego świata zależy ode mnie.

Na stole leżała płytka z fragmentem secesyjnego ornamentu. Kobaltowa gałązka przecinała kremowe tło, a przy jej końcu brakowało drobnego listka. Uzupełnienie go wymagało cierpliwości, nie talentu. Talent bywał przeceniany. Cierpliwość pozwalała odróżnić własną ambicję od tego, czego naprawdę potrzebował przedmiot. Pracowałam nad płytką od trzech dni i zamierzałam skończyć ją przed piątkiem. Potem miałam wysłać dokumentację do komisji, która przyznawała środki na uruchomienie małej pracowni edukacyjnej w sąsiednim lokalu. Nie chciałam już przez całe życie pracować wyłącznie za zamkniętymi drzwiami. Chciałam uczyć ludzi, jak patrzeć na rzeczy, zanim uznają je za zniszczone.

Wniosek był gotowy, brakowało mi tylko zdjęć i kosztorysu. Na parapecie stała teczka z dokumentami, obok próbki szkliw i miarka, którą od tygodnia nosiłam w kieszeni fartucha. Plan miał rozsądne granice: żadnych nowych zleceń przez dwa miesiące, żadnych obietnic składanych pod wpływem czyjegoś entuzjazmu, żadnego ratowania cudzych terminów kosztem własnych. Miałam czterdzieści osiem lat i wystarczająco dużo doświadczenia, by wiedzieć,

że niezależność nie pojawia się sama. Trzeba jej pilnować w drobnych decyzjach.

Telefon zawibrował na półce. Spojrzałam na ekran, spodziewając się wiadomości od właścicielki lokalu. Zamiast niej zobaczyłam nazwisko Marty, koordynatorki projektu, o którym rozmawiałyśmy w zeszłym tygodniu. Odruchowo odłożyłam pędzel. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że jedna rozmowa może przesunąć wszystkie rzeczy na stole, choć żadna z nich nie drgnie.

— Elwira, masz chwilę? — zapytała Marta, kiedy odebrałam.

— Jeśli to chwila, to mam. Jeśli pół dnia, to nie.

Roześmiała się krótko. Znała mnie na tyle, by nie brać tego za nieuprzejmość.

— Chodzi o album. Fundacja potwierdziła finansowanie. Chcą, żebyśmy ruszyli z pracą w przyszłym miesiącu.

Przesunęłam teczkę, robiąc miejsce na kubek. Album miał opowiadać o ludziach, którzy wciąż wykonywali rzemieślniczą pracę w małych pracowniach nad Wisłą. Pomysł był dobry, a nawet potrzebny. Zgodziłam się wstępnie na rozmowę, bo Marta obiecała, że nie będzie to kolejna publikacja z fotografiami dłoni i podpisami o ginących tradycjach. Chciała pokazać współczesnych rzemieślników, ich wybory, błędy, rachunki, zmęczenie i dumę. Zgodziłam się też dlatego, że nie umiałam całkiem odmawiać projektom, które mogły coś zmienić na lepsze. To była jedna z moich mniej praktycznych cech.

— Dobrze — powiedziałam. — Tylko przypominam, że mogę poświęcić na to najwyżej dwa dni w tygodniu.

— Wiem. I właśnie dlatego dzwonię teraz, zanim wszystko pójdzie dalej. Mamy fotografa.

Zatrzymałam palce na brzegu teczki.

— Kogo?

Po drugiej stronie zapadła krótka cisza. Nie teatralna, raczej taka, w której ktoś sprawdza, czy lepiej od razu powiedzieć prawdę, czy najpierw przygotować grunt.

— Jacka Wilgę.

Nazwisko nie powinno było znaczyć nic więcej niż informację o człowieku, którego wybrano do pracy. Przez lata nauczyłam się oddzielać nazwiska od wspomnień. Czasem robiłam to skutecznie. Tym razem wystarczyły dwie sylaby, żeby wrócił obraz letniego wieczoru sprzed trzydziestu lat: stół zastawiony kubkami, otwarte okno, światło na ścianie i młody mężczyzna, który patrzył na mnie tak, jakby już znał odpowiedź na pytanie, którego jeszcze nie zadałam.

Nie poruszyłam się. Za oknem przejechał rowerzysta, a jego dzwonek zabrzmiał zwyczajnie, niemal bezczelnie.

— Znasz go? — zapytała Marta.

— Znałam.

— To może być kłopot?

Spojrzałam na płytkę. Kobaltowa gałązka kończyła się w miejscu, w którym brakowało listka. Nie było w tym nic dramatycznego. Ubytek miał określony kształt, a ja wiedziałam, jak go uzupełnić. Z ludźmi bywało trudniej, zwłaszcza kiedy pamiętali człowieka z czasów, gdy sam nie wiedział jeszcze, kim chce zostać.

— Nie wiem — odpowiedziałam zgodnie z prawdą. — Jakie są warunki?

Marta zaczęła wyliczać: harmonogram, spotkania, sesje w pracowniach, zgody na publikację, zaliczka dla uczestników.

Słuchałam i robiłam notatki na odwrocie kopii kosztorysu. Pieniądze z albumu nie były mi potrzebne do uruchomienia nowej pracowni, ale mogły pokryć część wyposażenia. Ważniejsze było to, że publikacja miała trafić do bibliotek i szkół artystycznych. Chciałam, żeby ktoś zobaczył w rzemiośle nie tylko nostalgię, lecz także pracę, która wymaga wiedzy i podejmowania decyzji każdego dnia.

— Jest jeszcze jedna rzecz — dodała Marta. — Jacek znał twoją pracę od dawna. Powiedział, że bardzo zależy mu, żebyś była w albumie.

Poczułam irytację, zanim zdążyłam ją nazwać. Nie dlatego, że chciał mnie w książce. Nie podobało mi się, że jego życzenie zostało przedstawione jako argument, jakby znajomość sprzed lat dawała mu prawo do określania, czego potrzebuję teraz.

— Moja praca może być w albumie — powiedziałam. — Ja sama zdecyduję, co o niej opowiem.

— Oczywiście. Nikt nie chce ci niczego narzucać.

— W takim razie dobrze będzie zacząć od tej zasady.

Marta zapewniła mnie, że przekaże to Jackowi. Nie zapytałam, czy już wie, że się zgodziłam. Nie chciałam, żeby zabrzmiało to jak zgoda na spotkanie z nim. Zgodziłam się rozważyć projekt, a to nie było to samo. Ustaliłyśmy termin rozmowy organizacyjnej na następny tydzień i zakończyłyśmy połączenie.

Przez chwilę stałam bez ruchu, trzymając telefon w dłoni. Potem odłożyłam go ekranem do dołu, jakbym mogła w ten sposób uciszyć nie tylko urządzenie, ale i pamięć. Nie czułam żalu. Żal byłby zbyt prostym słowem na coś, co dawno przestało być jedną emocją. Była ciekawość, której nie chciałam przyznać, i ostrożność podszyta gniewem. Było

też pytanie, czy człowiek, który kiedyś znał moje milczenie, potrafiłby dziś usłyszeć moje zdanie.

Wróciłam do płytki. Nałożyłam cienką warstwę masy w miejscu ubytku i wygładziłam krawędź małą szpatułką. Nie próbowałam odtworzyć listka z pamięci. Najpierw przyjrzałam się temu, co zostało, sprawdziłam kierunek pęknięcia i dopiero wtedy dobrałam kształt. Tak pracowałam: nie udawałam, że uszkodzenie nigdy się nie wydarzyło, ale też nie pozwalałam, by decydowało o całym przedmiocie.

Na parapecie leżał plan nowej pracowni. Przesunęłam go bliżej, dopisałam przy kosztorysie cenę dodatkowej lampy i zakreśliłam termin wysłania dokumentów. Mój zamiar nie zniknął tylko dlatego, że w jego pobliżu pojawiło się dawne nazwisko. Nadal chciałam otworzyć drzwi sąsiedniego lokalu, ustawić stoły i pokazać innym, że naprawianie nie musi oznaczać powrotu do dawnego kształtu.

A jednak, kiedy znów spojrzałam na telefon, pomyślałam o Jacku nie jako o fotografie wybranym do albumu, lecz o człowieku, który miał zobaczyć mnie po trzydziestu latach. Czy potrafiłby spotkać kobietę, którą byłam teraz, czy też przyjechałby po obraz, który zachował w pamięci?

Rozdział 1 - Człowiek, który pamiętał za dużo

Jacek Wilga pojawił się w mojej pracowni siedem minut przed umówionym spotkaniem.

Wiedziałam to, ponieważ odruchowo spojrzałam na zegar, kiedy usłyszałam dzwonek nad drzwiami. Nie musiałam podnosić głowy, żeby rozpoznać sposób, w jaki wszedł. Dawniej miał zwyczaj zatrzymywać się na progu, jakby chciał najpierw sprawdzić, czy miejsce przyjmie jego obecność. Teraz zrobił dokładnie to samo. Przez kilka sekund stał nieruchomo, a potem zamknął za sobą drzwi.

— Dzień dobry, Elwiro.

Odłożyłam pędzel na ceramiczną podstawkę.

— Dzień dobry, Jacku.

Przygotowałam się na to spotkanie, ale nie przewidziałam, jak zwyczajnie zabrzmią nasze imiona. Trzydzieści lat temu wypowiadaliśmy je inaczej. Wtedy jedno słowo potrafiło przedłużyć wieczór, a zwykłe przywitanie nie było początkiem rozmowy, tylko obietnicą, że jeszcze się zobaczymy. Teraz dzielił nas stół roboczy, kilka półek z ceramiką i cała kolekcja rzeczy, których nie zamierzałam wyjaśniać przy pierwszej okazji.

Jacek zdjął płaszcz. Miał pięćdziesiąt dwa lata, siwe pasma przy skroniach i twarz, na której czas pozostawił ślady bardziej wyraźne niż na mojej. Nie próbował ich ukrywać. Był szczupły, poruszał się spokojnie, a jego dłonie nadal wyglądały jak dłonie człowieka przyzwyczajonego do aparatu. Długie palce, krótkie paznokcie, niewielkie

zgrubienie na kciuku prawej ręki. Pamiętałam je. Nie chciałam pamiętać, ale pamiętałam.

— Nic się nie zmieniło — powiedział, rozglądając się po pracowni.

— To nieprawda. Zmieniły się narzędzia, wyposażenie, instalacja elektryczna i połowa mebli.

— Miałem na myśli światło.

Spojrzałam na wysokie okno wychodzące na boczną uliczkę. Przez jego szyby wpadało blade listopadowe słońce. Rzeczywiście, światło było podobne do tego sprzed lat, ale nie zamierzałam pomagać mu w rozwijaniu tej myśli.

— Światło zmienia się kilka razy dziennie — odpowiedziałam. — To jedna z jego zalet.

Uśmiechnął się lekko. Nie wyglądał na urażonego. Raczej na kogoś, kto przyjął pierwszą uwagę i postanowił sprawdzić, czy następna będzie równie celna.

— Nadal nie pozwalasz rozmówcy łatwo wygrać.

— Nie wiedziałam, że przyszliśmy tu rywalizować.

— Nie przyszliśmy?

— Przyszedłeś rozmawiać o albumie. Ja przyszłam do pracy. Proponuję, żebyśmy oboje pamiętali o celu spotkania.

Jacek skinął głową i położył na stole skórzaną torbę fotograficzną. Nie otworzył jej od razu. Najpierw wyjął notes, kilka wydrukowanych stron i cienką teczkę z dokumentami. Usiadł naprzeciwko mnie, zostawiając pomiędzy nami wystarczająco dużo miejsca, by nie naruszać mojego roboczego obszaru.

— Marta przesłała mi twoje uwagi — powiedział. — Dwa dni w tygodniu, żadnych zdjęć bez wcześniejszego

uzgodnienia, pełna akceptacja tekstu dotyczącego twojej pracy.

— To podstawowe warunki, nie szczególne przywileje.

— Zgadzam się. Chciałbym tylko dodać jedną rzecz.

Oparłam przedramiona o blat.

— Słucham.

— Nie chcę robić kolejnego albumu z portretami ludzi stojących przy swoich narzędziach i patrzących w obiektyw. Interesuje mnie proces. To, co dzieje się pomiędzy początkiem pracy a gotowym przedmiotem.

— W takim razie dobrze się składa. Nie lubię pozowanych zdjęć.

— Pamiętam.

To jedno słowo zawisło pomiędzy nami z nieproszoną swobodą.

— Wiele rzeczy można pamiętać — powiedziałam. — Nie wszystkie są przydatne.

Przez moment przyglądał mi się uważniej. Potem otworzył notes.

— Chciałbym zobaczyć, jak pracujesz. Nie tylko gotowe przedmioty. Także te, które są w trakcie konserwacji, z ubytkami, pęknięciami, śladami wcześniejszych napraw.

— Pod warunkiem, że właściciele wyrażą zgodę.

— Oczywiście.

— I że nie będziesz dotykał niczego bez pytania.

— Nie jestem tak nieostrożny, jak myślisz.

— Nie powiedziałam, że jesteś.

— Ale pomyślałaś.

Nie odpowiedziałam. Zamiast tego przesunęłam w jego stronę kartkę z roboczym harmonogramem projektu.

— Album ma pokazywać współczesne rzemiosło. Nie wystawę przedmiotów z podpisem, że kiedyś ludzie umieli robić rzeczy ręcznie. Chcę, żeby znalazło się w nim miejsce na decyzje, techniki, koszty materiałów i problemy, które nie zawsze da się rozwiązać. Pracownia nie jest muzeum. Ja również nie jestem eksponatem.

Jacek spojrzał na kartkę.

— Nie zamierzam robić z ciebie eksponatu.

— Dobrze.

— Chociaż przyznaję, że masz wyjątkowy dar do ustawiania rozmówcy po właściwej stronie stołu.

— To stół roboczy. Każdy ma tu swoje miejsce.

Przesunął palcem po harmonogramie, zatrzymując się przy planowanym rozdziale dotyczącym konserwacji ceramiki.

— Chciałbym, żeby twój materiał był jednym z głównych punktów albumu.

— Dlaczego?

— Bo twoja praca dobrze pokazuje, że rzemiosło nie polega wyłącznie na tworzeniu nowych rzeczy.

— To brzmi rozsądnie.

— Poza tym zawsze miałaś cierpliwość do przedmiotów, które inni uznawali za stracone.

Nie spodobało mi się, że potrafił tak łatwo połączyć zawodową uwagę z osobistą znajomością. Z drugiej strony trudno było odmówić mu racji. Pracowałam z ceramiką dlatego, że interesowało mnie to, co można ocalić bez

udawania, że nic się nie wydarzyło. Nie każdy ubytek dało się uzupełnić. Nie każdą naprawę należało ukrywać. Czasami najuczciwszym rozwiązaniem było pozostawienie śladu.

— Chcę, żeby zdjęcia pokazywały również współczesne metody — powiedziałam. — Nie tylko tradycyjne techniki, których uczono nas na początku.

— Możemy to zrobić.

— I nie chcę podpisów w rodzaju "dawny kunszt w rękach mistrzyni". Nie jestem mistrzynią z ludowej opowieści.

— A kim jesteś?

Pytanie było zadane spokojnie, ale przez chwilę nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi, która nie zabrzmiałaby jak formułka z mojej strony internetowej.

— Konserwatorką ceramiki. Prowadzę własną pracownię i zamierzam ją rozbudować.

— Wiem o planach rozbudowy.

— Skąd?

— Marta wspomniała.

— W takim razie wiesz również, że to dla mnie ważne.

— Wiem.

Zamknął notes. Przez krótką chwilę patrzyliśmy na siebie bez pośpiechu. Miałam wrażenie, że próbuje rozpoznać, co zostało ze znajomej mu kobiety. Nie było w tym nic niezwykłego. Sama robiłam przecież to samo, choć starałam się nie przyznawać do tego nawet przed sobą.

— Przywiozłem coś — powiedział w końcu.

Otworzył torbę i wyjął aparat. Był mniejszy, niż się spodziewałam, profesjonalny, ale bez przesadnie dużego obiektywu. Następnie sięgnął do bocznej kieszeni i wyciągnął płaską kopertę.

— To nie jest część projektu — wyjaśnił. — Pomyślałem, że możesz chcieć zobaczyć.

Nie wzięłam jej.

— Co to jest?

— Zdjęcie.

— Jakie?

— Z Kazimierza. Z warsztatów, na których się poznaliśmy.

Przez chwilę patrzyłam na kopertę, jakby mogła zawierać coś znacznie bardziej kłopotliwego niż fotografia. Pamiętałam tamto lato, choć niektóre jego fragmenty zatarły się z czasem. Było gorąco, pracownia pachniała wypalaną gliną, a ja miałam osiemnaście lat i przekonanie, że świat można urządzić według własnego projektu. Jacek był wtedy młodym fotografem, który przyjechał dokumentować warsztaty. Miał dwadzieścia dwa lata i aparat, z którym nie rozstawał się nawet podczas przerw.

— Zachowałeś je? — zapytałam.

— Kilka.

— Nie wiedziałam.

— Nie pokazywałem ich nikomu.

Nie odpowiedziałam od razu. W końcu wzięłam kopertę i wysunęłam z niej odbitkę.

Na fotografii siedziałam przy kole garncarskim. Włosy miałam związane niedbale, rękawy podwinięte, a na policzku smugę gliny. Nie patrzyłam w obiektyw. Skupiałam się na

naczyniu, którego brzeg właśnie wyrównywałam. Pamiętałam ten dzień, choć nie pamiętałam samej chwili wykonania zdjęcia.

Byłam młoda, ale nie wyglądałam na osobę, która czeka na czyjąś ocenę. Miałam własne zajęcie, własny świat i minę człowieka przekonanego, że wszystko jest możliwe, jeśli tylko znajdzie się odpowiednie narzędzie.

— Dobre zdjęcie — powiedziałam.

— Zawsze tak uważałem.

Odwróciłam odbitkę. Na odwrocie widniała data.

— Dlaczego mi je pokazujesz?

— Bo pomyślałem, że może chciałabyś je mieć.

— A ty?

— Mam skan.

— To nie odpowiedź.

Przez moment wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie wzruszył ramionami.

— Nie potrzebuję dwóch egzemplarzy.

Położyłam fotografię na stole, nie wkładając jej z powrotem do koperty.

— Dziękuję. Zastanowię się, czy ją zatrzymać.

Nie próbował mnie przekonywać. To akurat było zaskakujące. Dawniej potrafił argumentować z takim zaangażowaniem, że człowiek zaczynał mieć wątpliwości, czy pierwotnie w ogóle posiadał własne zdanie.

Przeszliśmy do konkretów. Omówiliśmy liczbę sesji, sposób archiwizacji materiałów i harmonogram rozmów z pozostałymi uczestnikami. Jacek zaproponował, żeby pierwszą sesję w mojej pracowni zrobić jeszcze przed

końcem miesiąca. Odmówiłam, tłumacząc, że nie będę przesuwać zaplanowanych prac tylko dlatego, że fundacja ma ochotę przyspieszyć publikację. Zaproponowałam inny termin.

Przyjął go bez dyskusji.

— W takim razie zaczniemy od dokumentacji twojej bieżącej pracy — powiedział. — Bez portretów.

— To rozsądny początek.

— A później zobaczymy.

— Nie lubię niedopowiedzeń w umowach.

— Nie mówię o umowie.

Podniosłam wzrok.

— W takim razie o czym?

— O tym, jak będzie nam się pracowało.

Jego głos był spokojny, ale w spojrzeniu pojawiło się coś, czego nie mogłam pomylić z zawodowym zainteresowaniem. Nie było nachalne. Raczej ostrożne, jakby sam sprawdzał, czy ma prawo pozostawić między nami odrobinę osobistej przestrzeni.

— Zobaczymy — odpowiedziałam.

Zebrał dokumenty i schował je do torby. Kiedy wstał, zauważyłam, że fotografia nadal leży na stole. Nie zabrał jej. Nie zapytał również, czy może zostawić.

— Miło było cię zobaczyć — powiedział.

— To dopiero początek współpracy.

— Nie miałem na myśli projektu.

Nie chciałam odpowiadać na to zdanie. Zamiast tego podeszłam do drzwi i otworzyłam je przed nim.

— Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

— Do zobaczenia, Elwiro.

Tym razem nie zatrzymał się na progu. Wyszedł, a ja zamknęłam drzwi i przez chwilę słuchałam oddalających się kroków. Dopiero potem wróciłam do stołu.

Fotografia leżała obok moich notatek. Podniosłam ją i jeszcze raz przyjrzałam się dziewczynie przy kole. Nie przypominała mi kogoś, kogo musiałabym odzyskiwać. Była po prostu częścią mnie, tak samo jak kobieta, która dziś prowadziła pracownię, płaciła rachunki i planowała kolejne lata.

Wsadziłam zdjęcie do koperty i schowałam je do szuflady z dokumentami.

Nie zamierzałam wyrzucać przeszłości. Nie zamierzałam też pozwalać, by ktoś inny wybierał, które jej fragmenty mają opowiadać o mnie.

Tego wieczoru, kiedy kończyłam pracę nad płytką, zadzwoniła Marta. Chciała wiedzieć, czy pierwsze spotkanie przebiegło dobrze.

— Profesjonalnie — odpowiedziałam.

— To znaczy?

— To znaczy, że mamy ustalony termin i zakres pracy.

— Elwira.

— Marta.

Westchnęła.

— W porządku. Nie będę pytać.

— Dziękuję.

— Ale muszę ci powiedzieć, że Jacek był zadowolony.

— Z czego?

— Z tego, że się zgodziłaś.

Spojrzałam na szufladę, w której schowałam fotografię.

— To dobrze. Ja jestem zadowolona, że udało nam się ustalić zasady.

Po rozmowie wróciłam do pracy. Przez kolejne pół godziny nie myślałam o Jacku. Przynajmniej tak sobie powtarzałam.

Kiedy zgasiłam światło, wiedziałam już, że następne spotkanie będzie trudniejsze. Nie dlatego, że nie potrafiłam z nim rozmawiać. Przeciwnie. Znałam jego sposób mówienia, pauzy, uśmiech pojawiający się w najmniej odpowiednich momentach. Wiedziałam, kiedy żartował, a kiedy naprawdę czegoś chciał.

Problem polegał na tym, że nie wiedziałam, czy nadal potrafiłam odróżnić człowieka, którego znałam, od tego, którego pamiętałam.

Rozdział 2 - Warunki bliskości

Następnego dnia rano zadzwonił Jacek.

Nie spodziewałam się telefonu tak szybko. Byłam w trakcie przygotowywania stanowiska do konserwacji niewielkiej misy, kiedy ekran rozświetlił się jego nazwiskiem. Przez kilka sekund zastanawiałam się, czy odebrać od razu, czy poczekać, aż skończę odmierzanie składników do masy uzupełniającej. Wybrałam drugą możliwość. Nie zamierzałam przerywać pracy tylko dlatego, że zadzwonił mężczyzna, z którym kiedyś dzieliłam życie.

Oddzwoniłam po kwadransie.

— Dzień dobry — powiedział.

— Dzień dobry. Coś się stało?

— Nie. Chciałem zapytać, czy znalazłabyś dziś czas na rozmowę.

— Wczoraj rozmawialiśmy przez prawie dwie godziny.

— Wczoraj rozmawialiśmy o albumie.

— A dzisiaj?

— O szczegółach, których nie zdążyliśmy ustalić. Możemy też przejrzeć materiały dotyczące uczestników projektu.

— Przecież nie mamy jeszcze kompletu dokumentów.

— Wiem. Chciałem tylko sprawdzić, czy możemy spotkać się poza pracownią. Bez zegara nad głową i bez twoich narzędzi pomiędzy nami.

To ostatnie zdanie zabrzmiało zbyt swobodnie, żebym mogła udawać, że go nie zauważyłam.

— Nie przeszkadzają mi narzędzia.

— Domyśliłem się.

— Mam czas po piętnastej. Ale nie na cały dzień.

— Godzina wystarczy.

— Zobaczymy.

Ustaliliśmy spotkanie w niewielkiej kawiarni niedaleko rynku. Znałam ją dobrze. Bywałam tam czasami po zakupach, choć częściej brałam kawę na wynos. Nie chciałam wybierać miejsca, które miałoby sugerować coś więcej, niż zamierzałam zaoferować. Z drugiej strony nie zamierzałam również udawać, że spotkanie z dawnym partnerem jest zwykłą naradą zespołu projektowego.

Przez resztę poranka pracowałam bez większych problemów. Dopiero kiedy przed wyjściem zdejmowałam fartuch, uświadomiłam sobie, że wybrałam koszulę, której nie nosiłam od kilku tygodni. Była granatowa, prosta, dobrze leżała na ramionach. Nie było w tym nic szczególnego. Nie miałam zamiaru przebierać się dla Jacka. Po prostu nie chciałam iść do kawiarni w ubraniu, na którym zostały ślady gliny i preparatu konserwatorskiego.

Powtarzałam to sobie, kiedy zamykałam pracownię.

Jacek już czekał. Siedział przy stoliku pod oknem, a przed nim stała filiżanka espresso. Miał na sobie ciemny sweter i koszulę z rozpiętym górnym guzikiem. Nie wyglądał na człowieka, który specjalnie przygotowywał się do spotkania, ale zauważyłam, że ogolił się dokładniej niż poprzedniego dnia. Kiedy mnie zobaczył, wstał.

— Punktualna — powiedział.

— Ty również.

— To chyba dobry początek.

— Nie wyciągałabym jeszcze takich wniosków.

Uśmiechnął się i odsunął mi krzesło. Gest był naturalny, bez przesadnej uprzejmości. Usiadłam, położyłam torebkę obok siebie i zamówiłam herbatę. Jacek zaproponował, że zamówi coś do jedzenia, ale odmówiłam. Nie byłam głodna.

— Wczoraj nie zdążyliśmy ustalić kilku spraw — zaczął, kiedy kelnerka odeszła. — Chciałbym, żebyśmy mieli jasny podział odpowiedzialności.

— Dobrze. Ja odpowiadam za część merytoryczną dotyczącą konserwacji i za kontakt z osobami, które zgodzą się udostępnić swoje przedmioty. Ty za fotografię, selekcję materiału i przygotowanie propozycji układu.

— Zgadza się.

— Teksty zatwierdzamy wspólnie, ale informacje o mojej pracy konsultujesz ze mną przed publikacją.

— Nie mam z tym problemu.

— I nie fotografujesz mnie bez uprzedzenia.

Jacek uniósł wzrok znad notesu.

— Nawet jeśli akurat będziesz robiła coś interesującego?

— Zwłaszcza wtedy.

— Rozumiem.

— Nie chcę dowiadywać się później, że znalazłam się na zdjęciu, którego nie widziałam.

— To uczciwe.

Przez chwilę notował. Zauważyłam, że nie próbował negocjować żadnego z warunków. Być może spodziewał się, że będę bardziej stanowcza. Być może rzeczywiście przyjął, że po trzydziestu latach mam prawo wyznaczać granice bez konieczności uzasadniania każdej z nich.

— A co z rozmową o tobie? — zapytał.

— W jakim sensie?

— W albumie. Nie możemy opisać twojej pracy wyłącznie przez technikę. Potrzebujemy również twojej historii.

— Nie chcę autobiografii.

— Nie proponuję autobiografii. Chciałbym wiedzieć, jak doszłaś do miejsca, w którym jesteś.

— To dość długa historia.

— Mamy kilka tygodni.

— I nie zamierzam opowiadać wszystkiego.

— Nie musisz.

Przyjrzałam mu się. Odpowiedział spokojnym spojrzeniem. Nie było w nim zniecierpliwienia. Właściwie to właśnie spokój Jacka zawsze potrafił mnie rozbroić. Nie chodziło o brak emocji. Miał w sobie dużo więcej niż pokazywał, ale nie zmuszał innych, żeby natychmiast się do nich odnosili. Potrafił słuchać, kiedy naprawdę chciał usłyszeć odpowiedź. Problem polegał na tym, że czasami zbyt szybko uznawał, że już ją zna.

— Zaczęłam pracować z ceramiką, bo interesowało mnie, jak długo przedmiot może zachować ślady człowieka, który go stworzył — powiedziałam. — Potem odkryłam, że jeszcze bardziej interesuje mnie to, co można zrobić, kiedy przedmiot zostanie uszkodzony. Nie chodzi o przywrócenie mu idealnego wyglądu. Chodzi o to, żeby nadal mógł istnieć i żeby naprawa była uczciwa.

— Dlatego nie lubisz ukrywać uzupełnień?

— Dokładnie. Nie zawsze da się odtworzyć oryginalny fragment. Jeśli wymyślamy coś w jego miejsce, powinniśmy umieć to pokazać.

— To dobra zasada.

— Nie zawsze łatwa dla klientów.

— Ludzie wolą czasem wierzyć, że nic się nie stało.

— A ty?

Spojrzał na mnie znad filiżanki.

— Ja wolę wiedzieć, co się stało.

— Naprawdę?

Nie odpowiedział od razu. Przesunął filiżankę na spodek i oparł dłonie na stole.

— Nie zawsze potrafiłem.

W tym zdaniu było coś więcej niż zawodowa uwaga. Nie zamierzałam jednak wyciągać z niego zwierzenia, którego nie zaproponował.

— Wszyscy mamy takie okresy — powiedziałam.

— Ty również?

— Oczywiście. Tylko nie wszystkie muszą znaleźć się w albumie.

Zaśmiał się cicho.

— Wciąż potrafisz zamknąć drzwi jednym zdaniem.

— To przydatna umiejętność.

— Wiem.

Kelnerka przyniosła herbatę. Podziękowałam i sięgnęłam po filiżankę. Przez moment milczeliśmy, obserwując ludzi przechodzących za oknem. Kazimierz wyglądał inaczej niż w sezonie letnim. Było mniej turystów, więcej mieszkańców,

a na rynku ktoś rozstawiał skrzynki z warzywami. Lubiłam tę porę roku. Miasto odzyskiwało własne tempo.

— Jak długo zostaniesz w Kazimierzu? — zapytałam.

— Na razie do końca projektu.

— A potem?

— Nie wiem.

— Czyli nadal podróżujesz?

— Tak. Trochę mniej niż kiedyś. Mam teraz więcej pracy przy długich projektach, nie tylko pojedynczych zleceniach.

— Co fotografujesz?

— Ludzi, architekturę, czasami przedmioty. Ostatnio dużo pracuję z małymi instytucjami i fundacjami. Staram się wybierać rzeczy, które nie kończą się po jednym dniu.

— To brzmi rozsądnie.

— Zestarzałem się.

— Wszyscy to robimy.

— Ty nie wyglądasz na osobę, która szczególnie przejmuje się upływem czasu.

— Bo nie mam na niego wpływu. Mam za to wpływ na to, co z nim zrobię.

Przyglądał mi się przez chwilę, jakby chciał zapamiętać dokładne brzmienie tych słów. Potem opuścił wzrok na notes.

— To zdanie powinno znaleźć się w albumie.

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo nie jestem gotową kolekcją cytatów.

— Rozumiem. Ale było dobre.